

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

MACOCHA, TOM DRUGI

Józef Kraszewski
Macocho, tom drugi

«Public Domain»

Kraszewski J.

Macocha, tom drugi / J. Kraszewski — «Public Domain»,

Ciesz się klasyką! Miłego czytania!

Содержание

Tom drugi	5
I	5
II	14
III	23
Конец ознакомительного фрагмента.	28

Józef Ignacy Kraszewski

Macocha, tom drugi

Tom drugi

I

Dwór pana hetmana słynął podówczas z najwykwintniejszego urzędnika na wzór cudzoziemski, jakiemu równego trudno było nawet w stolicy. Była to wyrocznia delficka gustu, gdzie najpierwej przybywały nowomodne materje z Paryża, najświeższe sztuczki grane na francuzkich teatrach, gdzie się rozlegała najnowsza muzyka, gdzie z całego świata wędrowcy przybywali krzewić wśród barbarzyńskiego narodu smak w kunsztach, zamiłowanie dowcipnego słowa i rajskiego życia wśród zbytku. Sam pan hetman jako żywo nigdy pono na koniu nie siedział, nosił mundur jeneralski przy jedwabnych pończochach i trzewikach, grał prześlicznie na flecie, pisywał komedje po francuzku... kochał się w kwiatach i był najlepszym w świecie człowiekiem, ale jak najmniej rycerzem i żołnierzem...

Tytuł ten i dostojęństwo dostało mu się ze składu okoliczności szczególnych, które rozpowiadać tu byłoby zbyt wiele; wypadło zostać hetmanem i został nim...

Siedział jednak po większej części na wsi w pięknej rezydencji, w której sobie miły raik urządził, niekiedy w stolicy, gdy wymagała konieczność, często za granicą dla pokrzepienia wątłych sił, był bowiem zdrowia nader delikatnego...

Pomimo, że dochodził lat pięćdziesięciu, dotąd się nie ożenił, i ludzie przepowiadali, iż go już najczulsze kuzynek starania nie potrafią zaprowadzić na kobierzec. Było mu tak swobodnie na świecie, tak dobrze i wesoło, iż nie chciał sobie, jak się wyrażał czasem cicho: „komplikować egzystencji.”

Już sama powierzchowność pociągała ku niemu... Nosił się po francuzku z niezmierną zawsze elegancją i smakiem. Peruki sprowadzano z Paryża, batystową bieliznę szyto tam i prano, bo u nasby jej nikt wyprać nie potrafił, i próby okazały się tak nieszczęśliwe, iż wyrzeczono się raz na zawsze krajowego mydła, rąk i wody. Rozumie się samo przez się, że reszta garderoby dobrana być musiała do fryzury i bielizny... Nikt troskliwiej nad niego nie pilnował, ażeby guziki fraka, kamizelki, sprzączki od trzewików i szpada dobrane były zawsze i do jednego garnituru należące... nikt z równą mu logiką, ścisłą a nieubłaganą, nie ubierał się u nas. Był też i sędzią nader surowym dla drugich, a człowiek, który przed nim stanął z porcelanowymi guzikami przy sprzączkach stalowych, był od razu osądzony.

Natura obdarzyła go fizjonomią tak przyjemną, z pomocą sztuki i wychowania, wykształconą na tak miłą maszkę... że przepędzić z nim godzin kilka, a nie pokochać go, mógł chyba człowiek bez czucia i smaku... Rysy twarzy nie były klasyczne, lecz składały całość pełną harmonii łagodnej, wdzięcznej, słodkiej... uśmiechającej się najczystszą filantropią. Niebieskie jego oczy pływały jakby we łzach, wargi okalał dobrotliwy uśmieszek, na czole żadna marszczka marmuru jego nie zarysowała... Ludzie mówili, że trochę niewieście i nie po hetmańsku wyglądał; on się chlubił tem szczególnie, że w pośrodku Paryża brano go za Francuza czystej krwi i za dworaka.

Rączki niezwyklej białości, pulchne, tylko przed słynnemi z piękności rękami Stanisława-Augusta ustępowały. Gdy na flecie grał, wdzięk z jakim piąty palec odstawiał zaokrąglony... jednał mu serca wszystkich... Noga pana hetmana była skulpturalnie doskonała, a zakończenie jej, stopa oznaczająca, małostką i wypukłością na podbiciu, szlachetną starą krew, z której pochodził.

Trzeba go było widzieć, gdy się przechadzał, gdy ze złotej tabakiereczki odrobinę tabaczkę czerpał końcem paluszków, gdy siedział w krześle z ręką za żabot i kamizelką założoną z układnością

i wdziękiem niezrównanym, na ostatek gdy tańcował menueta. W menuecie był tryumf jego... Uczył się w Paryżu i u najlepszych mistrzów...

W rzeczach też dotyczących sztuki w ogóle był znawcą pierwszego rzędu... Sam się zajmując muzyką, a nawet będąc kompozytorem, sądził o muzycznych utworach bez apellacji; a że był we Włoszech, widział wszystkie muzea i kochał się w rzeźbach, kameach a obrazach, których miał bardzo piękne zbiory; gdy przyszło wyrokować o sprowadzonym z Włoch posągu, o nowo występującym artyście, hetmana zdanie ważyło na szali za wiele innych... W teatrze panował... bo teatr namiętnie lubił i miał go u siebie, równie jak doborną a małą wprawdzie, ale doskonałą kapellę.

Dowcipny, smakował nadewszystko w towarzystwie ludzi słynących z dowcipu, jak dwaj książęta de Ligne, a do charakteru jego najlepiej pono przypadali Francuzi, chociaż Włochami, uczonymi niemieckimi i niektórymi Anglikami nie gardził.

Z systemu jego wypadało być eklektykiem i sprowadzać co jaki kraj wydawał najlepszego, aby tem własny ubogacić... W przekonaniu bowiem hetmana nie było pod słońcem bardziej zacofanego świata nad ten, który go otaczał... Ilekroć odbywał podróże, lub nawet przejeżdżał się tylko po swych dobrach, widok tych chat wklęsłych w ziemię, siermięg grubych, wozów niekutyh, wołów drobnych, wywoływał z piersi jego westchnienia. Czuł jednak, że sam jeden nicby na to nie poradził, i nie robił nic... Trzeba to było zostawić przyszłości.

Dwór wszakże i rezydencja hetmana służyć mogły za rodzaj wzoru dla innych... W spadku otrzymawszy majątności ogromne, z nich jedną obrał sobie, by na niej okazać co uczynić można... gdy kto ma smak wytworny i wychowanie znakomite... Położenie Emilopola, tak nazwanego od imienia założyciela, było zachwycające. Na wzgórzu nad brzegiem spławnej rzeki, wśród gajów, które tylko poprzecinać i dosadzić potrzebowano... założono park rozległy, „dzikie promenady,” chińskie ogrody, wszystko czego ówczesny gust wymagał. Przodem, zwrócony ku rzece, stał pałac, budowa o kolumnadzie i portyku wspaniałym z dwoma skrzydłami, w pośrodku okryta kopułą oszkloną... Przed nim bić miała fontanna, do której jednak dotąd wody sprowadzić nie było można. W prawo i w lewo wysadzane ulice prowadziły do licznych dworków z ogródkami, przeznaczonych dla hetmańskiego dworu, a w lewo dalej szeroki gościniec wiódł do miasteczka, w którym kościół, cerkiew i synagoga nowe zupełnie, z wielkim też architektury wysiłkiem i różnaitością stylów, wzniesione były kosztem pana hetmana. Starano się o to, aby każda z tych budowli, z parku widziana, tworzyła wdzięczny wśród drzew motyw i krajobraz upiękniała. Synagoga przypominała Alhambrę, kościół świątynię grecką, cerkiew gotycki tum... Wszystko to w miniaturze wprawdzie, lecz z wielką troskliwością było narysowane, a plany architektów sam hetman poprawiał... Austerja kształtu starej twierdzy średniowiecznej, jeszcze nie była skończona...

W parku także dziwów napatrzeć się było można. Był tam zmniejszony amfiteatr rzymski... chińska wieża porcelanowa, rodzaj meczetu i pagody... w parowie świątynia przyjaźni odznaczała się nader szczęśliwymi liniami. Przed nią na kamieniu wyryty był czterowiersz francuzki, o którego autorstwo posądzano samego hetmana... Lecz któż tam te cuda zliczy i opisze! Kto wyliczy ile skarbów zamykał w sobie pałac, który miliony kosztował... i pochłonał na przybranie miliony!... Jakiś dowcipniś bardzo niewłaściwie szukał w nim zbrojowni, a nie znalazłszy dziwił się, że u hetmana nie było oręża; lecz concept ten czuć było średniowiecznym barbarzyństwem. Jednej może tylko jej nie dostawało w pałacu, mającym przepyszną francuzką bibliotekę, gabinet rzeźb i starożytności grecko-rzymskich, bardzo ładniuchny teatrzyk, salę koncertową, jadalną, audencjonalną i mnóstwo rozkosznych gabinecików z lampy alabastrowemi, kwieciem i zwierciadłami.

Dwór pana hetmana, nie mówiąc już o jego kancelarji, którą się jak najmniej zajmował, składał się z bajecznej prawie liczby osób, ale ani jedną mniej liczyć nie mógł... Sama muzyka z dyrektorem jej maestrem Ciprianim, dochodziła do dwudziestu osób; bez tej zaś hetmanowi się obejść było niepodobna, gdy sam był znakomitym wirtuozem. Teatr francuzki wymagał kilku pań i kilku panów, którzy jakkolwiek inne też funkcje spełniali na dworze, osobno za scenę pensjonowani byli. Nad parkiem dozór zwierzchni miał z Wiednia sprowadzony, w Schönbrunnie i Luksemburgu

wykształcony, znakomity hortykultor, pan Risius, osiadły tu z całą rodziną, którego zastępował czasem i wikariuszował mu młody, wielkich nadziei Hermann Berger... Tak było i w innych dworach oddziałach, powierzonych zwierzchnictwu wytrawnych i wykształconych fachowo mistrzów. Pochłaniało to summy ogromne, lecz hetman był przekonany, że w ten sposób kraj cywilizował.

Jakkolwiek konno nie jeździł nigdy, lubił hetman piękne konie, sprowadzał je z różnych krajów i w stajni też miał Duńczyka... który był wydał dzieło o Hippice.. Wszystko to razem stanowiło amalgam osobliwszy, a nie zawsze harmonijny, bo kosmopolityczne to zbiorowisko niekiedy występowało zbrojnie przeciw sobie, i wojny domowe nie były tu rzadkością; powaga jednak marszałka dworu umiała je uśmierzać, łagodzić, rozpoczęte koić, nasrożone rozbrajać, walczące już do upamiętania przywodzić.

Marszałkiem dworu był pan starosta Pobożanin, mąż stworzony do tego urzędu, któremu hetman wiele był winien i Bogu dziękował, że własny majątek częścią na podróże, w części na różne wybryki straciwszy, zmuszony był Pobożanin marszałkować u kuzyna... Istniało bowiem jakieś między nimi pokrewieństwo. Marszałek dworu służył taktem jak hetman dobrocią, znał ludzi, penetrował serca jednym wejrzeniem, oceniał charaktery i do każdego umiał się tak wziąć, iż najdrapieżniejszego uchodził.

Pobożanin był w innym rodzaju od pryncypała, bardzo pięknym mężczyzną, chociaż życie bujne, żwawe, nieoszczędne i włosy mu z głowy zdjęło, i na twarzy wypiętnowało przeszłość... Hetman do kielicha nie był wcale tęgi, za to marszałek, gdy z jego obowiązków płynęło przyjmowanie gości starym obyczajem, dopełniał tego z całym tradycyjnym kunsztem saskich czasów. Mówił z łatwością, wyrażał się pięknie, językami pięciu władał doskonale, na koniach się znał, muzykę lubił... tylko... miał nieszczęśliwą passyjkę do kart i utracjusz był niepohamowany. Mógł nie mieć butów, a gdy mu się brylant niepotrzebny podobał, musiał go mieć. Złośliwi ludzie mówili, że i z żywymi brylanty – podobnie – dawniej bywało.

Do dworu, którego tylko główne postacie zarysować możemy w ogólnym obrazku, należał jeszcze nadworny doktor Holender Van Spis, i kapelan ksiądz, który nosił pono tylko suknię duchowną, a głównie poezję francuzką uprawiał, abbé Mourion... Hetman szczególnie go cenił za to, iż był bez przesądów i w spory teologiczne wcale się nie wdawał, a kuplety do Doris składał z niezmierną łatwością. Myliłby się jednak, ktoby z tego wnosząc sądził, iż abbé Mourion był młody... Miał lat około sześćdziesięciu, peruczkę ryżą, twarz czerwoną, ręce łopatowate i nogi niepomiernej wielkości; a choć sam był chudy, zaokrąglony brzusek czynił go do pajaka podobnym. Talent poetycki ks. Mouriona pan hetman cenił wysoko, i nie mógł się wydziwić swemu szczęściu, iż tę perłę posiadał, o którąby się akademia czterdziestu dobijać była powinna.

Oprócz tych wybitniejszych osobistości, hetman był zmuszony gwoli dawnemu obyczajowi mieć dworzan kilkunastu, a służbę prawie nieobliczoną, gdyż hierarchia dworu od hetmana do stróża, który w piecach palił, wymagała wielu stopniowań i mnóstwa wyręczycieli a pomocników. Życie na tym dworze, przy tylu środkach uprzyjemniania go, płynęło nader mile, a choć sam hetman uskarżał się na nawał pracy i korespondencji, miał jednak dosyć czasu na dogadanie pańskim fantazjom swoim.

Na gościach też nigdy nie zbywało; słynny ze swej wykwiutności i życia pańskiego hetman ściągał nieraz nawet ze stolicy ciekawych, a przy każdej uroczystości nie obeszło się bez zastawnych stołów, koncertu, teatru, fajerwerku i innych kunsztownych niespodzianek. Szlachta dworowała chętnie, bawiono się wyśmienicie, a jeśli którego roku dochody nie dopisały, plenipotenci umieli na zastawy, skrypta, dzierżawy, dostać zawsze kilkanaście tysięcy czerwonych złotych, aby kassa nie była bez zapasu. Dwa razy doświadczył też pan hetman prawdziwej łaski Opatrzności, bo w najtrudniejszych latach spadły nań dwie znaczne sukcesje, któremi dobra oczyścił i dalej życie, do którego był nawykły, ciągnął. O oszczędności nie mogło być mowy... to co hetmana otaczało i co mu służyło, było, jak się wyrażał często: *le strict nécessaire*. Nie miał też obowiązków, nie będąc dotąd żonatym, i wedle wszelkiego podobieństwa, żenić się już nie pragnąc.

Niemal co rok gorliwe kuzynki i przyjaciółki tego kochanego hetmana usiłowały go wpędzić w jakieś nastawione sidła; nigdy się to jednak nie udawało. Hetman miał nadzwyczajnie trafne przecucie niebezpieczeństwa, składał hołdy, przynosił bukiety, adorował lica i oczy, unosił się nad anielskimi postaciami, lecz jak tylko przychodziło do pogadań matrymonjalnych, zachorowywał i wyjeżdżał za granicę. Nawet zamężne panie, z którymi daleko był śmielszy, bezpieczniejszym się czując, ilekroć rachowały nań w myśli rozwodu, a rozwody naówczas były chlebem powszednim, zawsze się na nim zawiodły. Ten wstręt ku małżeństwu przypisywano nieszczęśliwej jakiejś passji dla księżny X..... której chciał wiernym pozostać do grobu, choć ona mu się wcale równem przywiązaniem nie wywdzięczała, będąc jedną z najpłochszych kobiet swego czasu. Hetman kochał ją prawdziwie bezprzykładną miłością....

Mówiono też, że część serca wziął mu jego wychowaniec, którego kochał jak syna, zajmował się nim, kształcił go, pieścił i lubował ślicznym chłopakiem, który dziwnym jakimś zrządzeniem z twarzy podobieństwa był do hetmana... choć mówiono, że rodem był Francuz i że go sierotką wziął z Paryża przez litość ojciec przybrany. We dworze znano go pod nazwiskiem Chevalier Georges, chociaż musiał mieć jeszcze jakieś inne.

Zwykły tryb życia w rezydencji, z wyjątkiem dni uroczystych i nadzwyczajnych zjazdów gości, był następujący: Hetman wstawał o ósmej godzinie, niekiedy w łóżku przyjmował osoby swojego dworu i klientów, częściej już w szlafroku, pijąc czekoladę. Następnie z urzędowej kancelarii przynoszono mu papiery, które podpisując rad się ich był pozbyć jak najprędzej. Jeśli kto z oficerów przybywał za interesami, proszony bywał na obiad... Około godziny dziesiątej bywała msza w kaplicy, którą odprawiał nie tytułowy kapelan, ale wikary z miasteczka lub bernardyn z okolicy. Hetman, jeśli mu zajęcia dozwalały, bywał jej przytomny. Potem, w piękny czas jeździł na spacer albo przechadzał się po parku, a w czasie tym officjaliści przystęp niekiedy miewali. W ogóle jednak nie lubił, ażeby mu głowę kłopotano interesami, i mawiał, że na to trzyma tych panów, ażeby go wyręczali..... Przed obiadem jeszcze parę godzin czasem z wielką pilnością egzercytował się na flecie, sam lub w towarzystwie Ciprianiego; jeśli zaś miał wieczorem grać publicznie ze swą kapelą, robiono próbę w tym czasie.

Następował obiad, a kuchnia hetmańska była jedną z najprzedziwniejszych w kraju całym. Sławny Tremo, człek skromny i umiejący talent oceniać, sam wyznawał, że z kuchmistrem hetmana niejakim Joli, Paryżaninem, nie rad się był mierzyć w urządzaniu wielkich obiadów. Trzymano też osobnego pasztetnika, który był pochwycony niemal gwałtem ze Strasburga, i cukiernika.... Kuchnia była czysto francuzka, rozumowana, oparta na pewnych zasadach, do niezmiernej różnorodności łącząca klasycyzm pomysłów i głębokie pojęcie całości.

Każdy obiad hetmański był można powiedzieć poematem wielkiego stylu, w którym prolog, wszystkie akta aż do słodkiego epilogu spletały się w całość tak zajmującą, iż dopiero wstając od stołu, czuł biesiadnik jak nieznacznie nad miarę i siły się przeładował. Następstwo potraw, prawo kontrastów i prawo sympatji, środki obudzające, wypoczynki.... wszystko to z umiejętną było obmyślane rachubą... i nikt też panu Jolemu, sławy wielkiego mistrza nie zaprzeczał. W sosach celował.

Jeżeli okoliczności przedsejmikowe wymagały, ażeby stół zastosowany do barbarzyńskich podniebień, wrócił do tradycyjnych mocnych przypraw, kapust, kiełbas, bigosów, flaków i barszczu, pan Joli nie zmaszał rąk nigdy zajmując się nim, i otrząsając pył z nóg wychodził ze sprofanowanej kuchni, oddając ją w zarząd niejakiemu Pampolińskiemu, który na to tylko był trzymany, aby dla szlachty gotował. Zwykła kuchnia hetmana, do której on wielką przywiązywał wagę, służyła wykończeniem swem i delikatnością... Sprowadzano niektóre niezbędne materiały z za granicy kurjerami, jeśli przedmiot mógł uleść zepsuciu.

Obiad trwał zwykle dwie a nawet więcej godzin, gdyż hetman pośpiechu nie cierpiał i lubił czuć a wiedzieć co je... Niekiedy zachodził spór między nim a panem Jolim, który przychodził się tłumaczyć; zawiązywała się dyskusja kulinarna, i hetman z wielką pociechą swą, uznawał zawsze

Jolego zwycięzcą. *C'est un homme rare*, powiadał o nim. Joli brał pięćdziesiąt dukatów miesięcznie, oprócz prezentów; ale takiego artysty dość drogo nie można było opłacić.

Po obiedzie, czarnej kawie, wypoczynku, ku wieczorowi, zawsze grywała muzyka pod dyktando Ciprianiego... niekiedy hetman wirtuozował na flecie i wzbudzał entuzjazm nadzwyczajny. Miał też solistę skrzypka, a niekiedy jedna z pań należących do teatru mniejszą jaką aryjkę odśpiewała. W inne dni koncerta zastępował teatr, trwający do wieczery...

Ta była lekka, ale złożona z potraw, które snu nie odbierając, przyjemnymi marzeniami kołysać mogły... Przy lub po wieczery czytywano coś po francuzku, zawiązywały się rozprawy, dzienniki przynosiły wiadomości; towarzystwo zabawiało się do późna, a choćby hetman wcześniej zniknął, nie przeszkadzało to gościom kończyć dzień przyjemnie.

W ogóle swoboda panowała tu wielka, i przybyli mogli dzień spędzać jak im się podobało, mając się i czem i z kim zabawiać. Niektórzy z nich odwiedzali dworki, często marszałek dworu u siebie szlachtę przyjmował, młodzież ugaszczwał Chevalier Georges, a przyjęcia szły naturalnie na koszt pański. Wydatki też były ogromne; hetman nieraz na nie utyskiwał, a zmniejszyć i na złamany szeląg nie było podobna, jak dowodził plenipotent pan Zygmunt Borawski, człek bardzo zacny, powszechnie lubiony, nieposzlakowanej uczciwości, przywiązany bałwochwalczo do hetmana. Na jego to głowie i barkach cała dóbr administracja, skomplikowane interesa pieniężne i prawne spoczywały. Borawski był człek co się zowie z głową; nie dość bowiem, że mu czasu na olbrzymią tę pracę starczyło, zarządzał jeszcze znacznymi dobrami własnymi, które przed kilku laty zakupił, a na nich miał gospodarstwo wzorowe. Ubolewał on nad stanem często bardzo trudnych interesów pryncypała swojego, lecz – cóż miał począć? Nie był winien, nie mogąc szafunku grosza powstrzymać. Czasem przedstawiał hetmanowi, że czasy są ciężkie, że wydatki ogromne, że pieniędzy nie ma; hetman go ścisnął, całował i odpowiadał: „Borasiu! pożycz... a zresztą masz głowę i sumienie, spuszczać się na ciebie, nic i o niczem wiedzieć nie chcę.”

To rzekłszy, najczęściej wcale nie patrząc, podpisywał hetman i spał spokojny, a Borawski wdychał, narzekał na niego, tył, majątki kupował i prorokował, że to się źle skończy. Nie było dla takiego człowieka jak hetman, rozmiłowanego w sztukach, delikatnego smaku, wyższych zdolności umysłu, nic przykrzejszego nad stykanie się ze sprawami pieniężnymi, z rachunkami, papierami urzędowymi i wszystkim co realizmem grubym trąciło. Starał się to usuwać od siebie... mając wyższe posłannictwo. Żył sztuką i duchem, a rodzaj ten życia wymaga, aby mu nie przeszkadzano nieustannem powszednich, ordynaryjnych przedmiotów narzucaniem. Sam to zwykł był mówić, iż nie był do nich stworzony. Unikał też wszystkiego, co mogło martwić i pogodę umysłu tak potrzebną miłośnikom rzeczy wyższych zakłócać. Gotów był największymi ofiary pokój okupić i – być może bardzo, iż ze słabości tej, znając ją, korzystano; a choć się nie godzi posądzać czcigodnego Borawskiego, ten także przychodził czasem męczyć hetmana w ten sposób, iż dla odkupienia się od niego, dawał mu czego zażądał.

Znakomite wykształcenie, talenta, dobroć serca, słodczy charakteru, zjednały panu hetmanowi sławę nietylko w kraju, ale daleko po za nim, w najlepszym towarzystwie europejskim. Wszędzie gdziekolwiek się pokazał, przyjmowano go z oznakami sympatji i szacunku. Muzycy przypisywali mu swe utwory, literaci przysyłali w safian czerwony oprawne dzieła, pod światły je sąd jego poddając; miał kilku we Włoszech agentów, którzy dlań na arcydzieła i rzadkości czyhali, pakami całymi mu je nasyłając...

W galerji jego były Rafaele i Tycyany, jakich nie miał król Stanisław, a nad zbiór jego kamei i intaglij, bogatszego nie znano. Słowem, byłby to i sławny i najszcześliwszy z ludzi, gdyby mu we wszystkim ten nędzny pieniądz nie stawał na przeszkodzie do spełnienia najpiękniejszych pomysłów...

Nie dziw też, że sam widok twarzy pocziwego Borawskiego, zwłaszcza jeśli obok niej ukazywały się z za kontusza wyglądające papiery, wprawiał hetmana w najgorszy humor, w rodzaj niecierpliwości, z której nie wychodził, dopóki popodpisywawszy co chciał, nie pozbył się natręta,

posuwającego nudziarską regularność i drobnostkowość do ostatecznych granic. Słynął z tego Borawski, że u niego rejestra były utrzymywane jak nigdzie, ale co potem, kiedy we wszystkich w końcu okazywał się deficyt. Hetman nigdy w nie nawet nie zaglądał.

W tym roku jednak pieniężne sprawy emilopolskie poszły były dosyć szczęśliwie, piętnaście tysięcy czerwonych złotych wpłynęło z odzyskanego spadku. Borawski chciał nimi oczyścić długi, na co jednak hetman nie pozwolił, słusznie reklamując je jako swą osobistą kieszonkową własność, którą chciał raz wedle fantazji swej rozporządzić.

Przyплыw ten bardzo pożądany, ożywił nietylko zacnego pana, dając mu rzadki humor i pogodę umysłu, która dozwoliła napisać dwie komedje i jedne warjacje na flet z towarzyszeniem orkiestry, w czym mu nieco pomógł Cipriani, lecz cały dwór hetmański rozpromieniała. Każdy prawie z cudzoziemców dostał jakiś dar w pieniądzech lub kosztowności. Borawskiemu, aby nie dokuczał, dostało się pięćset dukatów tytułem gratyfikacji. Hetman w tym roku przedsięwziął kilka pięknych budowli i sprowadził architekta Włocha San Lukkę, z którego nadzwyczaj był zadowolony. O dobre pół mili od Emilopola, w stronie gdzie się park kończył, na gościńcu do Warszawy wiodącym, stało obrzydliwe stare karczmisko z wysokim dachem, odrapane, szare, o jednym kominie sterczącym nad niem, na które patrząc z wystawionego belwederu w końcu ogrodu hetman wzdychał zawsze, niesłuchanie się martwiąc niem, chociaż mu piękny dochód przynosiło. Park wymagał niezbędnie w tem miejscu budowli okazałej i oryginalnej dla widoku... Hetman chciał tu mieć angielski kastel z wieżami, jakie w podróży swej po Szkocji oglądał... W tym roku z pomocą San Lukki, wedle rysunku samego hetmana, przedsięwzięto nakoniec wzniesienie austerji w kształcie kastelu.

Żyd, który karczmę utrzymywał, niezmiernie nad tem utyskiwał; musiano jednak piękną myśl pańską wykonać, w części mury dźwigać się zaczęły. Hetman był tak niecierpliwy oglądania efektu, jaki sprawi owa budowa widziana z parku, iż niemal codzień w towarzystwie San Lukki i Chevalier'a Georges'a jeździł tam dla śledzenia postępu robót.

Do takich blizkich przejażdżek miał niziuchno zawieszony mały powozik odkryty, do którego zaprzęgano dwa wielkie konie w srebrem kutych chomątach. Siadało w nim osób dwie, reszta konno lub na wózkach towarzyszyła. Rzadko bowiem bez kilku najmniej osób mógł się dostojny pan obejść i wszędzie mniej więcej liczny dwór ciągnął za sobą.

Wiosennego dnia właśnie był po dobrym obiedzie, za który szczególną pochwałę odebrał Joli – gdy się w nim obudziła chęć przejechania się do fabryki, jak pospolicie tam zwano. Karczma właściwie od niepamiętnych czasów nazywała się – Zastójka; lecz razem z murami musiano jej dać imię nowe, które było przedmiotem długich rozpraw przez parę wieczorów. Różne wnoszono: Włoch utrzymał się przy wdzięcznie i pięknie brzmiącym – *Castel bianco*... Na nieszczęście w kraju barbarzyńskim zaraz to ludzie po swojemu grubijańsko przerobili – na niewiedziec już jaką Kościurbinkę. Niepodobna ich było odzwyczaić... *Castel bianco*... zwał się u ludu Kościurbinka. Hetman sam nieraz w przejażdżkach swych (bo był niezmiernie popularnym i do prostych wieśniaków mówił tak chętnie, że się jego otoczenie tej dobroci wydziwić nic mogło,) sam hetman zatrzymywał faetonik, pytał o nowe nazwisko i troskliwie wymawiania go uczył – nieokrzesany lud upierał się albo przy Zastójce, albo przy Kościurbince. Z czasem spodziewano się jednak pomyślniejszych wytrwałości owoców, bo dworscy mieli surowe rozkazy, aby prawdziwe wymawianie imienia wpajali nieoświeconemu ludowi. Trafiało się nawet, że hajducy hetmana źle zrozumiawszy polecenie, naukę popierali boćkowskim instrumentem, z czego się nieraz śmiano na wieczorach.

Tego dnia hetman był w usposobieniu nader błogiem, twarz mu się uśmiechała wdzięcznie, obiad ozdobił ją świeżym rumieńcem, maleńki ruch miał posiłkować dygestji i uwolnić od mozolnych jej trudów przed wieczerną. Na wieczerną zapowiedziane były raki tuczone olbrzymie.

Wyjechał pan hetman parą swych karych koni, tym razem sam jeden, w towarzystwie tylko kamerdynera Francuza, niejakiego Saint-Alona, człowieka, który miał całe jego zaufanie, i kawalera Georges'a – towarzyszącego konno... Zaraz za miasteczkiem droga szeroka, wysadzana prowadziła do niezbyt oddalonego *Castel-bianco*... Fabryka około nowej budowy prowadzona była w ten sposób,

iz stara karczma w Zastójce do czasu była pozostawiona i Żyd mógł przejezdnych w obszernej szopie i parze izb mieścić, nimby mu zamek dokończono... Zwykle powóz hetmana zatrzymywał się przed starą karczmą, pan wysiadał z niego i o lasce, którą dlań miał przygotowaną Saint-Alon, powoli szedł ku fabryce. Tu rozpatrywał się w robotach, czynił uwagi, naglił o pośpiech, obchodził mury do koła, zasznurowany wykupywał się dukatem mularzom i... używszy świeżego powietrza, powracał.

Wieczór był tak piękny dnia tego, po porannym deszczyku brzozy tak sielankowo pachniały, iz hetman nie dojeżdżając do Zastójki, objawił życzenie odbycia kawałka drogi pieszo... Saint-Alon podał laskę, kawaler Georges zsiadł z konia, i powoli tak hetman przodem, za nim młodzieniec i kamerdyner... poszli ku karczmie... W tej samej chwili z przeciwnej strony nadjechał młody człowiek na siwym koniu, tak pięknej postawy i lica, tak szykowny i zręczny, iz pan hetman stanął niezmiernie zdziwiony, z kąd takie zjawisko w okolicy mu znanej, a kraju barbarzyńskim, mogło się wśród gościńca znaleźć.

Po trokach u konika łatwo było poznać, iz młodzieniec przybywał ze stron dalszych; na koniu też, zresztą ładnym, znać było znużenie. Młodzieniec zsiadłszy z niego, ocierał go starannie, gładził i pieścił z dziwną czułością, co także ujęło za serce pana hetmana. Twarzyczka też wędrowca bujnemi otoczona włosami, jakie mało kto nosił naówczas, strój piękny choć skromny, a nadewszystko wyraz oblicza roztropny, energiczny, życia pełny i ognia, niezmiernie się podobały panu hetmanowi. Podobały się i zastanowiły tak dalece, iz oprzeć się nie mógł chęci dowiedzenia się, ktoby był ten nieznamy a tak dystygowany młodzieniec.

Saint-Alon chciał się zaraz pójść sam dowiedzieć, lecz hetman stosowniejszem znajdował wyprawić kawalera Georges'a ku niemu, zalecając mu wielką delikatność, gdyż z powierzchowności wnosił, iz podróżny nie był pospolitym człowiekiem, a nawet mógł być cudzoziemcem. U nas cześć dla obcych i gościnność dla nich była zawsze aż do przesady posuwany obowiązkim, za co zapewne ci sami cudzoziemcy u siebie w domu nieraz traktowali nas później lekceważeniem i pogardą. Kawaler Georges, wychowany częścią w Paryżu, częścią w kraju, chłopak miły, uprzejmy, grzeczny, najpiękniejszej manieri w świecie, a dość na jego pochwałę przypomnieć, że do pana hetmana podobny, zbliżył się niby od niechcienia do podróżnego, pozdrowił go i grzeczny ukłon w zamian otrzymał. Na nieszczęście nie dosyć dobrze mówił po polsku, do rozmowy więc w tym języku nie był zbyt skłonny.

– Cóż to za ładnego ma pan konia! rzekł obchodząc go Georges.

– Ładnego! to nic, ale jak dobrego i poczciwego! harmonijnym miłym głosem odpowiedział młody podróżny.

– Z daleka pan jedzie? podchwycił wychowaniec hetmana.

– Ja? – a, tak – o! z daleka... rumieniąc się i poprawiając coś około konia, odpowiedział podróżny, dosyć z daleka.

– Tak sam jeden?

– Chłopak mi... zachorował w drodze i pozostał, co mnie w niemały wprawia ambaras... rzekł podróżny spoglądając nieśmiało na pytającego.

Chevalier Georges spojrział też ciekawie na niego i zdziwił się sam sobie, że twarzyczka nieznamomego dziwne na nim robiła wrażenie... Rzucił okiem badawczem i zdumiał się niezmiernie, postrzegłszy rękę, z której tylko co zrzucił rękawiczkę wędrowiec, nadzwyczaj białą i dziwnie kształtną. Nóżka też w buciku wyglądała cudownie.

– Coś tak szlachetnego jest w tym chłopaku! rzekł sam do siebie Georges, taki wdzięk! Jakiz on ładny mój Boże! jaki ładny!

Z podbudzoną ciekawością i szczerze zajęty tem zjawiskiem, zwrócił się ku niemu Georges.

– Jest to z mej strony niedyskrecją, rzekł, że badam tak natrętnie; lecz... czy droga daleka? a jeśli służący jego chory i sam jeden masz ruszać dalej, czybyśmy mu pomocą być nie mogli?

Chłopiec zarumienił się mocno.

– O! bardzo dziękuję! odpowiedział cicho i nieśmiało: jestem w istocie w położeniu niezwykajnym i nadzwyczaj drażliwym... lecz nieśmiałybym niczyjej pomocy prosić... właśnie z powodu, że nawet istotnego mojego nazwiska wyjawić nie mogę.

Na te słowa dosłyszane nadsunął się sam hetman, mocno zaintrygowany i uradowany razem romansową przygodą, po raz pierwszy w dzikim tym kraju przytrafiającą mu się. Poetyczna jego wyobraźnia uderzona była i twarzą i postawą i ostatnimi słowy młodego chłopaka. Bał się, żeby mu nie uciekł, żeby Emilopola nie pominął!

Żywo więc zbliżył się pan hetman, uchylając nieco kapelusza przed stojącym ciągle przy koniu chłopcem.

– Muszę się panu zaprezentować sam, odezwał się; jestem dziedzicem tego kawałeczka kraju, stoisz pan na mojej ziemi... Słyszę, żeś zakłopotany, widzę z twarzy i postawy, że należysz do dystygowanej rodziny... kładnę na waćpana areszt... nie puszcę go dalej, prosząc najusilniej, ażebyś przyjął u mnie gościńę, wypoczynek, a jeśli w czem mogę być mu użytecznym...

Jestem hetman.....

Chłopak jak wiśnia zarumieniony ukłonił się bardzo grzecznie, i zbliżył do pana hetmana z uszanowaniem.

– Nie umiem wyrazić, rzekł, jak mnie pańska dobroć porusza... lecz byłoby nadużyciem...

– Mój kawalerze, kiedy ja was proszę i obliguję... Widzę, że znajdujesz się w jakimś wypadku...

– W istocie, podchwycił w ciągłych rumieńcach, nieznajomy; wyznam panu hetmanowi, że uciekam, uciekam zmuszony...

Lica hetmana rozjaśniły się z radości.

– Nie pytam! nie badam! przerwał, nie chcę wiedzieć co niemiłemby mu było wyznawać, ale usilnie pana proszę... spocząć u mnie...

– Kawalerze Georges! dodał, prezentuję panu mego wychowańca... Jesteście prawie jednego wieku, on będzie dlań przewodnikiem i wyreczy gospodarza... Kawalerze Georges, weźże tak szczęśliwie schwytanego pana.

– Nazywam się Wawrek Dobek Borowiecki, odezwał się nieznajomy żywo.

– *Non de guerre*, szepnął z uśmiechem hetman: *cella suffit*. Kawaler Georges weźmie pana z sobą i postara się o wygodne umieszczenie go...

– Pan hetman daruje, przerwał Dobek, ale służący mój z pakunkiem pozostał, nie mam się nawet w co przebrać, aby się przedstawić panu jakby przystało...

– O! panowie jesteście jednego wzrostu prawie z Georges'em, garderoba jego na usługi... a ma świeżo z Paryża sprowadzone i nietknięte suknie...

Wawrek się kłaniał... hetman uśmiechał się patrząc mu w oczy.

– Prawdziwie! zawołał, w naszym kraju po raz pierwszy w życiu spotykam się z tak zajmującą, zagadkową przygodą! Proszę, bardzo proszę dom mój uważać za własny...

Wawrek kłaniał się ciągle...

– Ja tu, dodał hetman, obejrzę moją fabrykę; jeśli łaska, proszę z Georges'em zaraz do pałacu, ażebyś pan mógł odpocząć po podróży... Będę miał przyjemność przywitać go u wieczery...

I niezmiernie uradowany a przejęty pan hetman, poszedł w towarzystwie swego Saint-Alona na zwykłe oględziny Castel-bianco... oglądając się jeszcze za Dobkiem, który skoczył lekko na siodło i razem ze swym towarzyszem udał się z wolna drogą ku pałacowi.

Chevalier Georges nie mógł się wydziwić wdzięcznym i łatwym ruchom pana Dobka, który siedział na koniu i kierował nim tak zręcznie, jakby to było jego rzemiosłem. Prawda, że siwy rumak łagodny był, dobry i zdawał się też piękną swą dobrany do jeźdźca. Nie potrzeba było nim kierować, zgadywał myśli, a choć zmęczony, szedł z dziwną fantazją, którą konie dobrej krwi dochowują do ostatniego tchu... Chevalier Georges zawiązał rozmowę z panem Dobkiem, nie mogąc

sam zrozumieć, jak na nim z natury dosyć dumnym i do stosunków niełatwym, tak korzystne ktoś od razu mógł uczynić wrażenie. Oczy, uśmiech, głos tego nieznajomego czarowały go...

– Nie czyni pan w Emilopolu żadnej niepotrzebnej ceremonji, rzekł po chwili rozmowy Georges. Hetman lubi gości, młodzieżą się zajmuje po ojcowsku, dom zawsze pełny daleko mniej mu od pana miłych osób, przynosisz nam z sobą upragnioną rozrywkę, bośmy się nieco monotonią wiejską nudzili, jesteś więc *le bienvenu*, i możesz siedzieć tu ile się mu podoba... Idzie tylko o to, by służący wyzdrowiawszy wiedział gdzie go szukać...

Dobek się zmieszał.

– A! na to, zawołał, już ja będę szukał rady...

Mówiąc tak zajechali przed ganek, i na znak dany przez Georges'a nadbiegła służba, aby konie od przybyłych odebrać... Zniesiono mały tłumoczek gościa do jego mieszkania, które było wyznaczone w pałacu, w antresolu bardzo przyjemnie urządzone...

Georges po kilku zapytaniach co do ubioru, oświadczył, iż mu do wyboru przysze cały garnitur, aby mógł na pokoje wyjść, gdy wypocznie...

Hetman miał tego dnia grać sam na flecie i koncert rozpoczynał się za półtorej godziny.

II

Nim się nowy gość ukazał na pokojach, w całym już dworze wiedziano o nim. Hetman niezmiernie uradowany tem, iż żywą awanturę jakąś na gościńcu pochwycił, osobę tajemniczą... młodzieńca tak pięknego jeszcze i dystygowanej powierzchowności, odgadywał już naprzód co go w świat pchnąć mogło, tworzył sobie z tego dramat cały. Georges zachwycony nim, opowiadał też o nieznanym Dobku, w którego nazwisko nie wierzono, jako o prawdziwie cudownej postaci, której wdzięk dawał się domyślać pochodzenia nader arystokratycznego i wychowania znakomitego... Dorozumiewano się w nim ukrytego kogoś z najpierwszych rodzin kraju...

Nic nie mogło dorównać gorączkowemu zajęciu tą zagadką samego hetmana; pragnął on przed nieznanym wystąpić co się zowie i przyjąć go z całą gościnnością, na jaką się mógł zdobyć.

Po przechadzce powróciwszy przywołał do siebie Pobożanina.

– *Cher ami!* wiesz co mi się trafiło? zapytał.

– Słyszałem już...

– Wystaw sobie, na gościńcu, na drodze, koło Castel-bianco... trafiliśmy na jakiegoś nadzwyczaj, ale to ci powiadam, nadzwyczaj dystygowanego młodzieńca, jak się zdaje, uciekającego lub goniącego za czemś... Ukrywa się pod przybranem imieniem Dobka, lecz dosyć spojrzeć nań, by się domyślić, że to jest młodzian *de qualité*. Przytem miły i wdzięczny nad podziw. Oczarował nas kilku słowami... Proszę cię, żeby go przyjąć... *comme il faut*.

– A! proszę, hetmana, kogo u nas się źle przyjmuje! odparł Pobożanin: chyba mu tu ptasiego mleka zabraknie.

– Bo proszę cię, *cher ami!* mnie to tak animuje i bawi!... ta tajemnica! ta ucieczka... ta twarz... coś tak w naszym kraju i pod nasze czasy niesłychanego. Prawdziwe szczęście...

Cher ami! dorzucił hetman, dajże mu jak najlepszą usługę! wygodę, czego tylko zapagnie... nakaż, żeby o jego ładnym koniku miano staranie.

– Ale to klacz, proszę pana hetmana, przerwał Pobożanin.

– To wszystko jedno! Polecam gościa twej opiece... proszę cię... – Ja nawet byłem już u niego... ale się właśnie ubierał, i taki ceremoniant, że mnie wpuścić nie chciał...

– Skromny! to ładnie! *très delicat!* rzekł hetman... I proszę jeszcze, żeby dwór wystąpił tak, aby mi wstydu nie zrobili. *Et ces dames aussi...*

Te damy, o których nie mieliśmy jeszcze zreczności wspominać, należały też do dworu pana hetmana. Żeńskie kółko składało się z dwóch Francuzek artystek, panny Maison zwanej Babetą i panną Voisin imieniem Eliza; z żony dyrektora kapeli, Włoszki, słynnej z piękności i głosu signory Angioliny Cipriani, z pani Berger młodej żony ogrodnika, Niemki, niegdyś nauczycielki, osoby pięknej także i wykształconej; naostatek z pani St. L. Georges, Francuzki, osoby niemłodej a w pretensjach, która niegdyś pono zajmowała się wychowaniem kawalera tego imienia, a teraz miała odrębne i bardzo zaszczytne stanowisko na dworze hetmana i córki jej, młodzieńkiej jeszcze, mocno nieładnej, choć dowcipnej, złośliwej i zabawnej, małej Ninon St. -Georges... O każdej z tych pań wieleby napisać można, gdyby wszystko zapisywać było warto. Panna Maison miała około lat trzydziestu, talent dramatyczny znakomity, resztki wdzięków nieco wybujałych i obejście się bardzo śmiałe. Panna Eliza o wiele młodsza, przystojna tylko, bystra bardzo, intrygantka wielka, była mimo twarzyczki dosyć pospolitej, wiecznym powodem waśni i śmiertelnych zająć pomiędzy dworakami hetmana. Bałamuciła wszystkich i obalamucała kogo chciała; mówiono, że ostatecznym jej celem było konieczne wyjście za mąż, a tego dotąd dopiąć nie mogła. Hetman się jej lękał, ale ją oszczędzał i bronił. Dla pięknej Angioliny Cipriani, która miała znakomite *mezzo soprano* i śpiewała z wielką brawurą, z niesłychanym był uwielbieniem gospodarz... Małżonek nie okazywał najmniejszej zazdrości, gdyż w istocie admiracja ta stosowała się do głosu raczej niż do osoby, choć głosowi postać dodawała uroku. Angiolina była dość jeszcze młoda, wspinała, miała przepyszne włosy, przesłizne

oczy, ale zachowana dobrze piękność już uchodziła. Czarny puszek wysypywał się na wierzchniej wardze... i figura przybierała kolosalne rozmiary... Lubiła się stroić szczególnie w klejnoty i na dni uroczyste cała była niemi okryta...

Pani Berger surowszej powierzchowności, słuszna, płaska, sztywna, o szafirowych oczach, blondynka, nie była też bez wdzięku. Hetman znajdował ją bardzo czytaną i rozumną. Niemniej jednak pełen będąc szacunku dla niej, uważał, że ręce miała brzydkie, nogi płaskie, włosy niemiłej barwy i wyraz twarzy przyostri... Zapraszano ją na wieczory, gdyż była muzykalną i nieźle wcale śpiewała...

Pani St.-Georges, jak to było dziś widać jeszcze, musiała być niegdyś bardzo piękną, rysy twarzy świadczyły o tem i zachowywały znakomite ślady wspaniałego profilu... Nos rzymski, czarne oczy oprawne jak klejnoty bogato i wypukło, usta drobne ginęły w szerokich policzkach i podbródkach, a dotąd przepaść w nich całkowicie nie mogły. Rączkę miała zbyt teraz pulchną, ale małością zadziwiającą. Zdawało się, iż niegdyś należeć musiała do teatru, gdyż doskonale o nim sądziła. Róż, bielidło, kosmetyki utrzymywały jeszcze płci reszty, a ubranie wykwintne łudziło przypomnieniami lepszych czasów. Córeczka jej Nina czy Ninon, bo ją tak i tak nazywano, był to czysty djabełek... nieładny, zły, dowcipny, zawczasie dojrzały, mający wszystkie wady, jakie w późniejszym dopiero wieku przychodzić zwykły, poczynając od zalotności. Ale z nią było zabawnie i hetman psuł ją i pieścił...

W dni powszednie, gdy nie było gości urzędowych, wszystkie te panie, czasem i kilka innych, których nie wymieniamy, przychodziły na koncerta... bywały na wieczerzy. Pani St.-Georges naówczas grała rolę wicegospodyni i pierwsze między niemi zajmowała miejsce; pani Cipriani była jakby pierwszym gościem, a djabełek Ninon udawała dziecię domu. Bawiono się czasem bardzo wesoło, jeśli jaka intryżka panny Elizy Voisin nie nadwężyła harmonji. Pobożanin protegował szczególnie Babetę Maison, ale i jemu się trafiało uleść piekielnym figlom Elizy, gdy chciała go przeprowadzić na swą stronę. Wracał wszakże potem ze skrucą do miłej i dobrej, ale płoczej i roztargnionej Babetty...

Chociaż w powszednie dni koncerta grywano w małej salce okrągłej, nie zajmując na nie wielkiej koncertowej z galerjami... na ten raz hetman wcześniej posłał dać wiedzieć, by kapela udała się do niej, a służba oświeciła ją stosownie. Sala ta akustycznie zbudowana, z dwiema po końcach galerjami, służyła też do balów i tańców... W czasie koncertu ustawiano pulpity w półkole, w środku mały fortepjanik dla dyrygującego kapelą Ciprianiego, a z boku przy nim, piękny z różowego drzewa pulpit ozdobny, przeznaczony był dla hetmana. Tu na aksamitnym taborecie składano w pudle z safianu wyłaczanem drogocenny flet czarowny wielkiego wirtuoza... W prawo i lewo na krzesłach i ławach obitych aksamitem zasiadała publiczność. Była ona zawsze dosyć liczna, gdyż czy kto muzykę lubił czy nie, znał się na niej albo całe nie rozumiał, wiedziano, że u hetmana zyskiwał *malam notam*, jeśli na koncerta nie chodził, gdy natomiast uczęszczający na nie i dający oznaki zadowolenia w łaski się wkradali. A miał to do siebie pełen łagodności i dobroci hetman, że gdy do kogo zawziął niechęć, choć jej nie okazywał jawnie, zachowywał w głębi serca na wieki.

Dawało się to czuć później zawsze...

Na koncertach więc pełno było i na oznakach zadowolenia nie zbywało.

Ażeby osoby przychodzące szmerem wnijsćia nie przeszkadzały muzyce, zwyczaj był, iż wszyscy się schodzili wprzód, zajmowali swe miejsca, a gdy kapela wystroiliła się i wysztyftowała, dopiero ukazywał się pan hetman. Witano go powstaniem, on szedł przemawiając po kilka słów do swych gości, zajmował miejsce osobne na fotelu odmiennym od innych z frendzlami złotemi, jeśli nie grał, albo zataczając rękawy do pulpitu stawał... Tego też dnia, wedle oznaczonego programu, goście zaciekawieni jeszcze przybyciem owego nieznajomego, o którym tyle mówiono, zebrali się zawczasu w wielkim komplecie. Zjawił się nawet pan Borawski, l'abbé Mourion, stary ogrodnik, Francuzi, Włosi, Duńczyk, Holender, stając hierarchicznie jedni trochę na przodzie, drudzy z tyłu, inni w ciemnych zakątach pod galerjami.

Kawaler Georges, który miał sobie poruczoną szczególną opiekę nad młodym podróżnym, wprowadził go na salę w chwili, gdy wszyscy już byli zebrani... i szmer jakiegoś podziwiania jakby oklask cichy powitał pięknego młodzieńca. Trzeba też przyznać, że był zadziwiająco piękny, a piękność ta tak była szlachetna, pociągająca, oryginalna, iż kobiety szczególnie oderwać od niej oczu nie mogły. Suknie kawalera Georges'a przypadły doskonale do figury pana Dobka... a że były od najlepszego krawca i z wielkim wykonane smakiem, było mu w nich na podziw ładnie. Ubranie z fjołkowego aksamitu z guzikami srebrnymi, także sprzączki u trzewików, kamizelka srebrem przetykana, piękne koronkowe mankiety i żabot przystrajały młodzieńczą figurkę tę, której główka rysami delikatnymi i przepyszną naturalną fryzurą obfitych włosów nadawała się choćby do obrazka Greuze'a. W jej wyrazie energia razem i słodycz, czułość i siła charakteru połączone były w ten sposób, jak się to rzadko męzkim trafia twarzom.

Wchodząc młody Wawrek był nieco pomieszany z razu, zwłaszcza zobaczywszy wszystkie oczy ciekawych skierowane ku sobie; lecz wprędce odzyskał tak potrzebny mu spokój i panowanie nad sobą. Do przechadzających się po salonie wnet zaczęli się przyłączać ciekawi. Pobożanin, który był w istnej admiracji dla pięknego młodzieńca, l'abbé Mourion, Cipriani i Francuzi, przypatrywali mu się wszyscy z rozbudzonem zajęciem, egzaminując go od stóp do głowy... W początkach Georges był w obawie, by rozmowa dłuższa, którą tu dla cudzoziemców samych już musiano prowadzić po francuzku, nie była trudna dla przybyłego, lecz się okazało, że ten acz nie z niewielką wprawą, mówił dobrze po francuzku, a po niemiecku wybornie... Z kilku słów poznał też w nim Cipriani nie obcego muzyce dylletanta, który snadź i sam fortepianu próbował. Wszystko to zwiększyło jeszcze współczucie dlań i przyjazne usposobienie. Piękna pani Angiolina przyszła mu się przypatrzeć z blizka, za nią pani St.-Georges, djabełek, Babetta i Eliza... W tem obłężeniu ze wszech stron gość nieco znowu się zmieszał; szczęściem niedługo to trwało, gdyż w tej chwili syknął ktoś... cisza nastąpiła, wszyscy się ku swojemu miejscu wymykać zaczęli... Hetman wchodził. Tego dnia, jakby dla uczczenia gościa, był ubrany z największym staraniem i wyglądał tak, że byłby mógł na pokojach królewskich w Wersalu się pokazać... Ubranie jego barwy ciemnokarmazynowej ze złotem, było przepyszne, peruka nie zostawiała nic do życzenia, mankiety z najpiękniejszych brabanckich koronek, pończochy do barwy sukni stosowne, najmniejsze szczegóły zachwycały znawców i znawczynię. Gwiazda Orła Białego przyozdabiała sama jedna frak, chociaż hetman miał też francuzki order Śgo Ducha i należał do zakonu i znaku Śgo Huberta.

Wszedłszy hetman z tym wdziękiem, który towarzyszył najmniejszym jego ruchom, z powagą razem i pewną uroczystością zbliżył się do młodego chłopaka, witając go raz jeszcze. Okiem znawcy popatrzał nań długo z uwielbieniem artysty... Ukochany jego wychowaniec, chevalier Georges wydał mu się przy tym przybyszu pospolitym i prawie brzydkim...

Ale też z pewnością i Dobek musiał z zachwyceniem przypatrywać się hetmanowi, który rozmawiając z nim dobył z kamizelki złotą emaljowaną tabakierczkę z miniaturą jakąś na wierzchu, aby mu dała zręczność pochwalenia się ze śliczną białą ręką, która w koronkowej swej spódniczce jak cacko wyglądała... Z jakim wdziękiem dobył szczyptę tabaczki hetman i poniósł ją do nosa, każdy palec ukazując oddzielnie wygięty z naturalnością i gracją wyszukaną razem, tego opisać niepodobna. Wielki ten mąż i w tem nawet był wielkim artystą...

– Młody przyjacielu, odezwał się głosem muzykalnym i rytmicznym: *soyez le bienvenu!* proszę o to tylko, byś się uważał jak w domu i dozwolił mi spełniać każde swe żądanie. Będę szczęśliwym... jeżeli w moim domu znajdziesz spoczynek i odetchnienie!!

To mówiąc nogę jedną cofnął w tył jak tancerz, który ma podskoczyć naprzód... uśmiechnął się i całą postacią zwinął ku muzyce, okazując gibkość i zręczność swoją, w człowieku tego wieku, jadającym obiady pana Jolego, istotnie zdumiewającą.

W tejże chwili kapela zaczęła się ustawiać przy pulpitych dla wykonania uwertury Haydn'a... i cisza roztoczyła się po sali. Hetman zajął krzesło z frendzlami złotymi, zasiadając w niem jakby

do portretu dla malarza, każdy bowiem ruch jego i poza, gdy się przed ludźmi ukazywał, były wystudjowane; hetman czuł, że to było obowiązkiem jego stanu, krwi i dostojeństwa.

Wawrek i Georges z tyłu za nim zasiedli razem z l'abbé Mourionem, panem Borawskim, Pobożaninem, i innymi dostojniejszymi.

Wykonanie wstępnej sztuki nic nie pozostawiło do życzenia, chociaż muzycy wyuczeni przez Ciprianiego byli po większej części poddanymi z dóbr obszernych hetmana, wyszukani między parobczakami, kuchtami, różną drużyną, w której się jakiegokolwiek okazało usposobienie. W czasie uwertury hetman bawił się żabotami i uśmiechał; niekiedy jedna z dwóch dostojnych nóg jego, spoczywająca na wierzchu, wydrygiwała takt i dyrygować się zdawała kapelą..

Zaraz po tym wstępie, hetman z wolna podniósł się z krzesła... i od niechcienia zaczął przybliżać się ku swemu pulpitemu.. Cipriani otworzył szkatułkę... ale hetman sam wyjął z niej hebanowy flet, arcydzieło kunsztu.. który naprzód otarł starannie batystową chusteczką. Cipriani rozłożył nuty na pulpicie... muzyka stanęła przy swoich, *maestro di capella* ujął laseczkę... hetman strząsnął koronkowe mankiety, by mu nie zawadzały, i stanął...

W tej pozie z fletem przy ustach okazał się znowu niezrównanym artystą. Każdy inny byłby wymuszoną, przesadną gracją starał się wywołać wrażenie; jego poza była pełna swobody, a tak wdzięczna, tak pasterska, tak rzewna!... Muzyka rozpoczynała się od pięknego *tutti*... po którym następowało *adagio appassionato*, temat... Tu flet rozpoczął śpiew... pełen słodyczy, melancholii, tęsknoty i bólu razem. Hetman grał istotnie mistrzowsko, z uczuciem, z wprawą, z życiem wielkiem... a kapela wtórowała mu dzielnie Lecz proste owo założenie było tylko popisem uczucia; po niem popis zręczności nadzwyczajnej, szybkie trójki spływające się w jeden sznur pereł równiuteńkich, trele słowicze, przeskoki nadzwyczajne... Wszystko to jak wieńce zielone, jak kwiatów wiązanki czepiało się na głównym temacie, ubierało go, a temat jak narzeczona do ślubu strojna coraz się śliczniej wydawał. Hetman ogarnięty sam zapałem, zapomniał w końcu o pozie, o mankietach, o peruce, o nogach i jak prosty śmiertelnik, jak Marcjasz pasujący się z Apollinem... leciał po laury artysty... Każdy też chętnieby mu go był włożył na paryzką perukę, gdyby się godziło w ten sposób wieńczyć tak dostojnego męża.

Oklask, który się dał słyszeć po odegraniu ostatniego *allegro vivace*, był szczery, a zachwycony Wawrek zapomniawszy się, bo pierwszy raz w życiu słyszał coś tak pięknego i przemawiającego do duszy, wyskoczył z krzesła przybiegł do hetmana i w rękę go pocałował! Była to widocznie tak szczera dań uwielbienia (bo to się z twarzy Dobka czytać dawało), że hetman oburącz go z nadzwyczajnym affektem do piersi przycisnął za to – i w głowę pocałował...

Wszystko to stało się *insperate*, w jednej chwili... i zmieszało nieco program koncertu, gdyż podobne objawy admiracji nie były we zwyczaju. Obcemu ich wszakże za złe hetman wziąć nie mógł, a do łez się owszem rozczulił... powtarzając:

– Prawdziwie... bardzom szczęśliwy!

W tej chwili czuł się bardziej artystą niż hetmanem...

Naiwny ten objaw uwielbienia, nadzwyczaj ujął dwór hetmana dla młodego chłopca, któremu nawet nie zazdroszczono, że sobie w ten sposób łaski pana domu pozyskał.

– *Mais il est charmant!* szeptały kobiety...

Lecz jak w najjednostajnym chórze zawsze się znaleźć musi jakieś ćwierć-nutki dyssonującej gdzieś incognito, tak i w tem unisono przyklaskującym młodemu Dobkowi był cichy głosik przeczący a kwaśny. Piękna niegdyś Babetta kiwała głową, przekręcała ustami i mówiła do pani St. -Georges po francuzku:

– Nie znajduje pani, że ten chłopiec... ma w sobie coś jakby niewieściego... (*quelque chose d'effeminé*)?

– Nie, ja tego nie znajduję, odpowiedziała pani Georges; wszyscy młodzi mają ten wdzięk kobiecej trochę, który się ściiera później życiem... a bardzo ładny chłopak...

– Tak! ładny, lecz... lecz zbyt wie może o tem, że piękny jest... Zdaje się aż wstydzić tego, tak o tem przekonany.

– Dziwaczysz, Babetto! zawołała pani Georges, i Francuzka zamilkła...

Pomiędzy mężczyznami Dobek znajdował równie wielu admiratorów jak wśród kobiet... L'abbé Mourion patrzył nań z ciekawością, która biednego młodzieńca aż niepokoiła.

Hetman po odegraniu warjacji musiał zająć swe krzesło, otrzeć pot z uznojonego czoła i na laurach odpocząć... był zmęczony, lecz nigdy może nie grał od dawna z takim zapałem, werwą i ogniem, a Cipriani, który mu przyszedł wieszować, zaklinał się, iż najpierwszy flecista wieku... pewny Florentczyk na... **ani**, nie dotrzymałby mu placu... Było to co najwyższego na flecie osiągnąć się daje... Mourion ułożył sobie nawet kuplety, które jutro miał hetmanowi podać przy czekoladzie, z okazji tego występu...

Po hetmanie żaden solista nie mógł wystąpić już z niczem; pani Angiolina przysła z uśmiechem przyznać się do tego, iż ze swym głosem po jego flecie popisywać się nie może. Grała więc kapella różne kawałki dawnych i nowszych mistrzów... i część wieczoru przeszła bardzo przyjemnie... Zaczepiano rozmową gościa, chcąc się dowiedzieć zkądby był i odgadnąć co się kryło pod jego skromnem przybranem nazwiskiem; lecz... zręczny chłopiec potrafił odpowiadając na wszystko nic nie powiedzieć.

Następowała wieczerza. Chociaż zwykle bywała ona bardzo starannie przygotowana, na ten raz nader domyślny Joli zrozumiał, iż należało wystąpić. Z salonów przeszła jakaś wieść do kuchni...

Sala jadalna oświetlona była jarzącem światłem jak zwykle, w pysznych kandelabrach brązowych; stół zastawiony przez kredencera, który także zasługiwał na miano artysty. Hetman sam przyznawał mu wielki instynkt, nie mogąc tego nazwać inaczej, gdyż był rodowitym miejscowym chłopkiem i zwał się po prostu **Perebendą**.

Bronzy, kryształ, kwiaty, światła ubierały wytwornie stół herbowną okryty bielizną, umyślnie robioną w Saksonii. Wielkie tafle zwierciadlane w środku stołu kładzione, na których stawiano naczynia, odbijały je, zwiększając blask także. Gdzie niegdzie grupy i figurki z saskiej porcelany bawiły oko przyjemnie... Z wyjątkiem wielu osób, które do pierwszego stołu prawa ani pretensji nie miały, wszyscy zasiedli do wieczerzy.

Hetman gościa po prawej ręce posadził z wielką przyjemnością, poczynając z nim rozmowę amalgamowaną francuzką-polską, w której młodzieniec skromny brał udział.

W tak dobrym humorze jak dziś, bywał gospodarz rzadko; dzień to był bowiem szczęśliwy ze wszęch miar, gdyż ani Borawski interesami, ani kancelarja wojskowa podpisami, ani żaden szlachcic sejmikowemi sprawy go nie nudził, a na gościńcu znalazł on nieoszacowany skarb, ową zagadkę na siwym koniu...

Hetman także próbował coś dobyć ze swojego gościa, coś coby na jaki ślad, na wniosek naprowadzało; nie zyskawszy nic wreszcie, nie chciał być natrętnym, co w gospodarzu byłoby niedelikatnością, wszystkim prawom dobrego tonu przeciwną. W blasku świateł rześzystych... twarz Dobka jeszcze wyrazistsza zwracała oczy całego stołu... szeptano poglądając na niego dziwnie. Ze szczególną czułością przyglądał mu się chevalier Georges, który przy nim siedział, nie mogąc od pięknej jego rączki oka oderwać...

Ręka ta nawet uwagę hetmana zwróciła, i w chwili gdy spostrzegłszy to Dobek ją usuwał, hetman ujął za rękę ciekawie.

– Co za cudowną masz waćpan rękę! zawołał: *on dirait une main de femme!*

Wyrazy te rumieniec krwawy wywołały na twarz Wawrka... zmieszał się, ale epizod ten był mu nauką, ażeby się nazbyt z białemi dłońmi nie wymykał. Schował też je pod stół...

Wypytywał potem hetman, czyby na jakim nie grał instrumencie i czy muzykę lubi?

Dobek się przyznał, iż trochę na fortepianiku brzdąkał i śpiewać próbował, lecz że głos miał tak kobiecy, iż się go aż wstydził, postanowiwszy ze śpiewem czekać, póki mu inny nie urośnie.

Wywołało to uśmieszki.

– Ażebyś pan nie nudził się rankami, a nie żenował grywać słuchanym, Cipriani mu poszle niezły klawicymbalik, który stoi nieużywany w jednym z pokojów.

Dobek się chciał wymawiać, nic nie pomogło; Georges obiecał sam tego dopilnować i nastroić.

Z innych też stron sypały się grzeczności... a kobiety nie były na nie skąpe, oprócz Babetty, której stanowczo chłopak się nie podobał. Pani St.-Georges nazywała go cherubinkiem i szczęśliwe to a trafne nazwanie hetman przyklasnąwszy pochwyił oddając hołd dowcipowi jejmości.

Po wieczerzy, która była jedną z najsmaczniejszych, jakie hetman jadł w życiu, sam to wyznawał, wstano od stołu i rozmowa swobodniej się toczyła.

Do tej pory dosyć spokojna córeczka pani St.-Georges, djabełek Ninon, napasłszy ciekawe oczy kawalerem nowym, odważyła się przystąpić do niego i zaczepić... obrzucając pytaniami. Obchodziła go dokoła, przyglądała mu się... łapała za ręce, patrzyła na dłonie... i przyrosła do niego, mówiąc wcale głośno, że się w nim zakochała. Takiemu małemu dziewczęciu wszystko było wolno: śmiano się z niej.

– Tylko proszę, żeby mi nikt mojego kawalera nie bałamucił, rzekła figlarnie; bo ja się będę w nim kochała i będę okrutnie zazdrośną.

Obróciła się dokoła grożąc paluszkami... Śmiał się hetman niezmiernie.

– Ale spytajże kawalera, czy on się w tobie kochać zechce? rzekł ściskając dziecko.

– No, musi, odparła Ninon: ja będę go kokietowała, kokietowała jak Babetta, gdy Pobożanin się na nią pogniewa, będę mu w oczy zaglądała, uśmiechała się, wzdychała... aż w końcu go zbałamucę...

– A cóż ci z tego przyjdzie? zapytał hetman.

– Choćby tylko tyle, żebym go innym odebrała! rzuciło dowcipne dziewczę...

Śmiano się więc jeszcze mocniej, a Babetta ruszyła gniewnie ramionami. W ostatku hetman wstał... niby dla przejścia się po pokoju, bardzo zręcznie... zawinął się ku drzwiom i zniknął. Było to oznaką, że i reszta gości mogła wedle woli zostać lub odejść do mieszkania. Georges chciał uprowadzić towarzysza, lecz po wyjściu hetmana kobiety ośmielone zaczęły się zbliżać ku Dobkowi.

Szczególniej Eliza potrzebowała mu zajrzeć w oczy, aby się przekonać, czy jakiej małej, epizodycznej intryżki nie potrafi zawiązać. Rzuciła słów kilka... kilka wejrzeń, a nie znajdując dość dobitnej odpowiedzi w oczach młodzieńca, zawyrokowała odchodząc, że to dzieciak jeszcze...

Pani Angliolina Cipriani zbliżyła się także, potrzebując pokazać się przybytemu, który dotąd nie spojrział na nią; kilka słów powiedziała pani St.-Georges, nawet Babetta przesunęła się poglądając ku niemu.. i kawaler Georges ledwie go umęczonego zapytaniami potrafił uprowadzić nierychło...

Miał sobie za obowiązek odwiódłszy go do ładnych pokoików w entresolu, posiedzieć tam jeszcze z pół godziny na poufalej pogadance, i odchodząc przyrzekł służącego przysłać, za co mu Dobek podziękował bardzo, prosząc, aby tego nie czynił, gdyż nawykł był od dzieciństwa ubierać się i rozbierać sam i bez sługi obchodzić się lubi... Rozstając się Georges miał wielką ochotę pocałować w twarz miłego przyjaciela, lecz nie śmiał jakoś i odłożył to na jutro...

Po wyjściu jego... gość natychmiast zaryglował drzwi jedne i drugie, i padł na fotelik znużony, złamany, jakby go nagle reszta sił odbiegła. Głowa opadła mu na piersi, ręce zwisły na poręczach, oparł się o nie i pozostał tak nieruchomy długo, długo... póki zegar na kominie wybijający pierwszą godzinę w nocy z tego zadumania go nie przebudził...

Potrzebujemyż czytelnikowi tłómaczyć, iż owym Wawrkiem Dobkiem Borowieckim była biedna Laura... której się zdawało, że ją senne mary porwały w świat dziwów i czarów? Od chwili, gdy na Muni wyjechała zrozpaczona, rozdrażniona w świat, opuszczając Borowce, minęło dni niewiele; lecz ileż wrażeń, strachu, niepewności, zwątpienia!... Znając dobrze okolice i lasy borowieckie, nigdy pono dziewczę granic ich nie przekroczyło. Zbierając się dopiero w tę podróż, na którą całej energii i odwagi potrzebowała, Laura przez kilka wieczorów rozpatrywała mapę, którą komornicy byli przed rokiem zrobili, oznaczając na niej błota, strumienie, hrudy, uroczyska i drogi. Na tej mappie nauczyła się którędy najbezpieczniej w świat wyrwać się mogła, omijając gościniec wielki, na którym obawiała się pogoni.

W główce jej ułożyło się wszystko jak najłatwiej, lecz jakże różnie gdy przyszło do wykonania! Już w pierwszej chwili wykradając się z uśpionego zamku pod oknami pani Lassy, strach ją jakiś ogarnął; potem gdy wyprowadziwszy Munię, skoczyła opiąwszy troki na siodełko i znalazła się w czystym polu za miasteczkiem, choć noc była jasna... cicha... wonna... ogarnęła ją trwoga niewypowiedziana. Pierwszy raz w życiu była tak sama a sama na całym szerokim świecie, otoczona nieprzyjaciołmi tylko i niebezpieczeństwami... Byłaby może wróciła zawstydzona z tej wyprawy, gdyby nie przypomnienie macochy, tego co doświadczyła i co ją od niej czekało... Munia sama niosła prawie nie kierowana drożyną ku lasom, parszkając dziwnie, jakby była rada, że się na swobodę wyrwała...

Nad rankiem dopiero przebywszy znaczną przestrzeń, jak się Laurze zdawało, zawsze w jednym kierunku, znalazła się prawie na kraju lasów, gdyż szczęśliwie zbłądziła nie oddalając się od Borowiec; u spotkanych dopiero ludzi spytała o drogę na uroczyska, których się z mapy nauczyła, a ci, nie poznawszy jej, wskazali którądy jechać miała...

Cały dzień błądziły po lesie, Laura zmęczona, Munia głodna... póki nie dobiły się do karczemki, nie spoczęły tu trochę i nie ruszyły dalej na nocleg do wsi już za puszcza położonej. Mimo całej energii ducha Laura czuła się zmęczoną tak, iż zwątpiła czy dalej jechać potrafi... Nadjechała pogoń z Borowiec, którą rozmawiającą w nocy pod karczmą i wywiadującą się usłyszała Laura, i to jej dodało męstwa a siły. Nazajutrz rano, noc spędziwszy w płaszczu na sianie przy koniu, puściła się w dalszą drogę...

Trzeciego dnia wysłała list przez żebraka do ojca... Pierwszy strach powoli przechodził, oswajała się z dziwnym położeniem swem i nabierała otuchy, iż dostać się potrafi do stolicy. Z pieniędzy, które wymogła na ojcu jako ostatnią jałmużnę, znacznieszą część zostawiła była ze szkatułką Eliaszowi, wzięła jednak z sobą aż nadto, by jaki rok wyżyć mogła. W główce jej, po rozmowach z panią Lassy, którą wybadać się starała, dziwne snuły się plany. Miała jako mężczyzna nająć sobie mieszkanie, uczyć się muzyki, czytać, pracować, żyć samotnie, wszelkich znajomości unikać i tak – czekać póki jej los nie nastreczył zręczności dowiedzenia się o Honorym, o Konopnicy. Wiedziała, że musiał już ożenić się z Zosią Bułhakówną; nie przeszkadzało jej to jednak kochać go całym sercem i myśleć o osiedzeniu gdzieś w sąsiedztwie... tak... aby on o niej nie wiedział, a ona go widywać mogła.

Marzenia były dziecinne! niewykonalne, bajeczne, lecz Laura nic a nic świata nie знаła, wiedziała o nim z powieści, sądziła z posłuchów. Teraz dopiero z rzeczywistością całę inną, zupełnie różną mierzyć się miała... Czuła, że jako panienka sama ruszyby się nie mogła, nie dość byłaby swobodną; zdało się jej więc bardzo naturalnem przywdziać strój męzki, a łatwem udawać mężczyznę. Dopiero w podróży łapiąc się sama na nieustannych omyłkach w mowie i niezręcznościach w postępowaniu, postrzegła, iż suknia nie dała jej charakteru, ani nawet zupełnej fizjonomji młodego chłopaka. Musiała pracować nad sobą, ażeby przyswoić oboje... Energia charakteru dozwoliła jej w kilka dni powolnej podróży znaczne uczynić postępy...

Jechała tak oszczędzając konia, zabezpieczając się od jakiejś napaści na drodze, przeciw której miała tylko parę pistoletów w olstrach i lekką prostą szabelkę, nie umiejąc jej użyć wcale. Opatrzność jakoś czuwała nad nią, iż jej nic złego nie spotkało... Dziwnym trafem w jednej gospodzie napędził ją był rotmistrz i niechybnieby poznał, gdyby on i jego ludzie nie byli tak napili, iż żadnej twarzy wyraźnie przed sobą nie widzieli. Laura potrafiła się dosiadłszy Muni wyrwać o zmroku z gospody, a, że to było w miasteczku, przejechać do innej, przeczekać wyjazd p. Poręby i potem spokojnie sunąć się dalej.

A ileż myśli sunęło się z nią razem, jak chmury czarne krążąc nad jej głową! Pieszczone dziecię, jedynaczka ojcowska, rzucona w wir obcego świata bez opieki, bez steru, bez wiedzy niebezpieczeństwa. Wykarmiona czytaniem Biblii – Laura jeszcze jakimś biblijnym świat widziała, czuła w nim prawicę bożą, Opatrzność, aniołów, opiekę nad czystym sercem... a w sercu ani winną, ani występłą się nie czuła, tylko nieszczęśliwą. Temu nieszczęściu sam Bóg winien był pociechę,

osłodę pomoc... bo nie miała nikogo oprócz Boga.. To dodawało jej mężstwa... Zdawało jej się, że bezpieczeństwa strzeże z niebios ręka wszechmocna... I jechała marząc, pieszcząc się ze swoją Munią, myśląc o stolicy, o Honorym... o tem jak mężczyznę udawać będzie... Często po gospodach przeglądała się w zasmolonych zwierciadelkach, starając się osądzić czy dosyć poważną i marsową twarz miała.. Wyjeżdżając na ofiarę losom obcięła znaczniejszą część pięknych swych włosów, żal jej było ich czasem, to znowu z pewną dumą mężką zaczesywała te bujne resztki, które jej główkę otaczały... I jadąc tak ośmielona nieco... jednego wieczoru stanęła przed ową karczmą pod Emilopolem, gdzie szczęśliwy czy niefortunny traf zesłał pana hetmana z wychowawcem, aby ją wzięli w niewolę.

Ze wszystkich niebezpieczeństw, na jakie mogła być narażona, to pewnie było najmniejsze na pozór, a jednak Laura wolałaby była może inne. Tu tyle oczu patrzyło na nią z przenikliwą ciekawością, śledząc ruch najmniejszy, tu tak łatwo zdradzić się mogła!!

Nie wiedziała sama co miała czynić, uciekać co najrychlej lub czekać i w tej szkole przymusowej nauczyć się trochę grać komedję, która musiała być jej udziałem. W sukience kobiecej gdyby się nawet przyznać do niej chciała, groziło jej większe niebezpieczeństwo poszlakowania przez wysłańców macochy, których się najbardziej lękała. Postanowiła więc zostać jak dotąd była chłopcem, ucząc się i wprawiając do mężkiego obyczaju... Laura przewidywała, że jej to z wielką przyjąć musi trudnością, ale na grzecznym dworze hetmana, przy jego wielkiej uprzejmości, życzliwości Georges'a, wśród ludzi przyzwoitych, mogła się mniej obawiać nieznośnego natręctwa. Osób i oczu było trochę za wiele, ale ten sam zamęt od niej wzrok odciągał... Choć w pierwszej chwili narażona była na ciekawość trochę niepokojącą, ta naturalnie z dniami następnymi musiała się nieco przytępić, a Laura spodziewała się znaleźć tu wypoczynek potrzebny, czas do namysłu... któż wie? może jaką wskazówkę dla przyszłości...

Z takimi myślami bijąc się biedne dziewczę pożałowało tylko, iż pocieszycielki swej Biblii, której ogrom nie dozwalał zabrać – nie wzięła do podróznego tłumoczek... Obiecała to sobie przy pierwszej zręczności nagrodzić, kupując zaraz tę księgę, do której od dzieciństwa była nawykła..

Zamknawszy drzwi na rygle... zasunawszy okna, obwarowawszy się aby jej nikt podpatrzeć nie mógł, Laura poczęła się rozbierać, zawczasu postanawiając wstać rano i odziać się przed przyjściem Georges'a, który mógł zapukać wcześniej i domagać się drzwi otwarcia, nimby była nawet ubrana...

Na samą tę myśl zarumieniła się przerażona i drżąca... a za tą jedną przyszły inne tysiączne wypadki podobne, w których potrzeba było przytomności i zręczności nadzwyczajnej, żeby się nie wydać z tajemnicą.

Laurze łzy się zakręciły w oczach. Nie lepiejżeby może było, nazajutrz, przed jedną z tych pań wyznać kim była i prosić ją o radę i opiekę, lub powiedzieć wszystko przed hetmanem, któryby pewnie jej nie zdradził?? Tak doradzał rozum i przestach, cale inaczej fantazja, która pragnęła przygód, i miłość swobody, która nie znosiła surowszej konieczności postępowania... Myślała długo znowu... wyjaśnić wszystko czy zataić? Lecz położenie choć tak straszne, tak razem było dziwne, ponętne, prawie zabawne! Laura rozśmiała się smutnie, ruszyła ramionami białymi, popatrzała w zwierciadło nastawiwszy najsroźszego marsa jakiego umiała... potem na zdradliwe ręce...

– Rękawiczek nosić nie będę w drodze! – zawołała – niech się opalają... jak się opalą i zczernieją... to kto je tam pozna, że nie mężkie... zapracuję, zamulam!! Włosy jeszcze krócej obetnę... Cóż więcej? Nauczę się tak chodzić śmiało jak oni, brać się w boki, głowę przekrzywiać, niby węża szukać palcami – choć go mieć nie będę... Co więcej? Śmiać się głośno... nie rumienić się co chwila... A! te rumieńce niepocziwe najgorzej mnie zdradzają; a od nich tak odwyknąć trudno! Może też przyjdzie i to z czasem, że oczy spuszczać i kraśnieć tak przestanę... A potem co?... Strachu nie mam, strzelać się nauczę... choćby nawet trochę bić się na szpady! Przecież w kłótnię się nie wdam żadną... Ot! i będę doskonałym mężczyzną...

– A! nic – tylko śmiało! – zawołała Laura usypiając i znajdując, że w łóżku... bardzo było wygodnie.

Tyle dni spała na sianie!

III

Następny ranek rozpoczął się odwiedzinami Georges'a, który już zastał Dobka ubranym i zdziwił się, że tak rannym był ptakiem. Razem z nim poszli na śniadanie do mieszkania kawalera, który stał bardzo po pańsku na dole pałacu od ogrodu i miał cały apartament i służbę osobną. Nadzwyczaj uprzejmie, ale z natrętną i kłopotliwą ciekawością przyjmował on gościa swego, usiłując widocznie coś się od niego o przeszłości dowiedzieć, którą ten właśnie pragnął jak najmocniej utaić. Nie nalegał wszakże spotkawszy się z wahaniem i oporem, jak gdyby ufał, że obudzi ufność większą i że to samo przyjść musi. W godzinach tych sam hetman mało się pokazywał, będąc zajęty kancelarją swą, muzyką i interesami. Natomiast do kawalera Georges'a płynęli goście, z których każdy nowy wprawiał w niepokój pana Dobka, wystawionego na wejrzenia i pytania. Nadeszli tu jeden po drugim l'abbé Mourion, Pobożanin, Cipriani i jeden z aktorów francuzkich, człek bardzo dowcipny i wesoły.

Rozmowa choć nader przyzwoita, nacechowana była jednak pewną swobodą mężką, nieustannie rumieńce wywołującą na twarz Dobka, który w końcu unikając i słuchania jej, i mieszania się do niej, a znalazłszy kilka dzieł o podróżach ze sztychami na stoliku, udawał niezmiernie ciekawego. Ranek ten nauczył go, że w towarzystwie zmieszanem, złożonem z mężczyzn i kobiet, daleko było znośniej; przeciwnie z samymi mężczyznami wytrwać nierównie trudniej. Georges jednak ilekroć widział miłego towarzysza zakłopotanym, przychodził mu w pomoc, a nawet zmieniać się starał tok rozmowy. W ogóle nie była ona nauczającą. Z płochością wielką prawił Francuz, a nawet Mourion, o różnych awanturkach i intrygach miłosnych, już to na dworze hetmańskim, już w Warszawie głośnych... To coby powinno było oburzać, wzbudzało tylko żarty i szyderstwa. Dobek zdawał się tonem przerażony, jakby na inny świat się dostał..

Szcześnie kawaler, który potrafił to poznać, rozmowę skierował na sztukę, muzykę, na przedmioty mniej drażliwe. Dobek w ogóle był milczący; dopiero gdy po przesunięciu się tych wszystkich gości zostali sami, nieco się ożywił.

Georges zapytał go – czy mu ta paplanina przykrości nie zrobiła? gdyż uważał po nim pewne zakłopotanie.

– Rzeczywiście, rzekł Wawrek, byłem wychowany w domu poważnym, surowym, z troskliwością wielką, aby mi się płochy wyraz nie obił nawet o uszy – możecie miarkować jak teraz razi mnie każda śmielsza mowa.

Kawaler, który w różnym wcale świecie i otoczeniu się wychował i dla którego nie miało już życie tajemnic – zdziwił się, ale poszanować umiał skrupuły przyjaciela..... Poszli potem oglądać piękny park i wszystkie osobliwości pałacu, obfitującego w zbiory wszelkiego rodzaju... a na ostatek oddać uszanowanie hetmanowi, który powitał młodego swego gościa z wielką uprzejmością, z czułością prawie dopytując, czy mu tu dobrze, czy na niczem nie zbywa? Wkrótce nastąpiła uroczysta godzina obiadu z całą obrzędowością swą, gdyż uczyły emilopolskie, jak niegdy rzymskie, miały swe formy, porządki i ceremoniał stały. Dobek musiał być bardzo ostrożnym, ażeby go nie upojono, a znudził się niezmiernie przedłużonem siedzeniem u stołu... nawykłym będąc i do innej kuchni i do krótszego obiadu. Tego dnia zamiast koncertu hetman nazначył teatr, i grać miano parę wodewilów francuzkich, w których gospodarz smakował wielce. Chciał się trochę też popisać przed przybyłym, dla którego było to nowością. Występowały na scenie: w roli matki pani St. Georges, co jej nader rzadko się trafiało, obie Francuzki jako kochanki, a nawet dla małej Ninon rola się znalazła. Sztuczki wybrano zabawne, dowcipne, wesołe; a że teatr był na pół amatorski, więc i kawaler Georges w liczbie artystów się pomieścił. Hetman kazał gościowi usiąść przy sobie... Korzystając ze zbliżenia, miał nadzieję coś z niego wybadać, gdyż wiedział przez wychowawca, że temu się nie zwierzył wcale. W między-aktach bardzo zręcznie rozpoczęła się rozmowa, której cel łatwo odgadnąć było, i Dobek miał się na ostrożności.

– Kochany przyjacielu, odezwał się hetman, szanuję twe incognito, anibyśm chciał ci się narzucać za powiernika, lecz zdaje mi się, że lżejby ci było może, a mnie łatwiej służyć ci, gdybym cokolwiek wiedział lepiej, jaki szczęśliwy dla mnie, a dla was dziwny pewnie wypadek, wyrzucił tu na emilopolskie brzegi?

– Niezmiernie trudno mi odpowiedzieć na to pytanie, odezwał się Dobek. To tylko o mojem życiu przeszłem powiedzieć mogę, iż byłem jedynym dziecięciem u ojca... że z domu rodzicielskiego nieszczęśliwy skład okoliczności ujść mnie zmusił. Osoba obca rodzinie naszej, weszła do niej. Nie chciałem się poddać jej i wolałem narazić na dobrowolne wygnanie. Nie wymagaj pan odemnie więcej... przykroby mi było odmówić, a nie mógłbym w wyznaniach pójść dalej.

Hetman zamilkł, kładnąc swą białą rączkę na ramieniu sąsiada.

– Ale ja nic nadto więcej wiedzieć nie chcę, co mi powiesz dobrowolnie mój młody przyjacielu, odezwał się łagodnie. Schroniłeś się tu pod dach gościnny... zostań pod nim, proszę. Mam nawet w tem własny interes. Wychowaniec mój Georges, którego kocham jak syna, nie ma właściwego wiekowi swojemu i wychowaniu towarzysza... proszę cię bądź mu dobrym druhem... i zaszczyć go przyjaźnią swoją. Na ostatek, dodał hetman, jeszcze jedno delikatne pytanie: Uchodząc z domu, mogłeś być zmuszony opuścić go, nie opatrzwszy się w potrzebne do podróży środki... może ci służyć mogę?

– O! dziękuję najserdeczniej panu hetmanowi, uśmiechnął się Dobek, jestem zaopatrzone obficie... aż nadto na niewielkie potrzeby moje...

Rozmawiali tak w przerwach dość długo, a choć Dobka teatr, rzecz dla niego zupełnie nowa, bawił bardzo, nie rozumiał tak dobrze wszystkich gry odcieni, jakich hetman, wielki smakosz i znawca w tym przedmiocie, wyszukiwał i wskazywał, opowiadając o słynnych artystach dramatycznych, których widywał w Paryżu.

W jednej z tych dwóch sztuczek, naśladowanej pono z włoskiego, występowała panna Eliza przebrana po mężku i chwilowo zmuszona odegrywać rolę mężczyzny. Jakkolwiek z talentem się wywiązała ze swej roli, krytykowano ją, roztrząsano i hetman z tego powodu rzucił kilka uwag bardzo słusznych... Dobek może ich dobrze nie dosłyszał, tak był jakoś poruszony dziwnem zbliżeniem przypadków i przedmiotu komedji do własnego jego położenia. Zdało mu się, iż wszyscy już wiedzą kto on jest, i że komedję wybrano umyślnie, aby mu to dać do zrozumienia. Z ogniem oblaną twarzą siedział jak na mękach, gdy hetman, wciąż na złość chyba, o *rôles travestis* rozprawił...

Na myśl mu już przychodziło, gdyby tylko poznany był, natychmiast potajemnie Emilopol opuścić... Nie odpowiadał ani słowa...

Naglenie do zwierzeń, potem odegranie komedji, w której delikatnie dano mu do zrozumienia, iż się domyślają kim jest... wzburzyło go i zaniepokoiło... Każdy kto nań spojrział, zdał mu się szydzić i uśmiechać się z odkrytej tajemnicy... W dodatku, zszedłszy ze sceny, panna Babetta przysiadła się z tyłu za krzesłem Dobka, i nieustannie od stóp do głowy, przypatrując mu się z jakimś dziwnym uśmiechem, niepokoiła go nadewszystko...

– Wiesz pan co, odezwała się do niego cichutko, gdybym nie wiedziała, że to w tym kraju na żaden sposób trafić się nie może... gdybym nie była przekonana, że na tej ziemi podobne przygody są niepraktykowane... wzięłabym cię, mój panie, za... panienkę... Masz głos, włos, rękę i nóżkę kobiecą...

Dobek błagając na nią zwrócił wejrzenie, tak wyraziste, tak wymowne, że Francuzce głos zamarł na ustach... zmieszała się – zamilkła...

Odgadnięty – nie wiedząc co począć, spojrział na nią raz jeszcze szukając w twarzy – charakteru, usiłując odgadnąć jakie następstwa mieć może przymusowe zwierzenie się. Babetta miała wyraz pełny współczucia i życzliwości, ale ciekawość ją paliła. Dotknęła ramienia Dobka i odezwała się głośno po francuzku, tak aby hetman ją słyszał:

– Piękny kawalerze, zdaje mi się, żeś przyznał przed chwilą, iż teatru nigdy nie widywałeś... dopełnijże twej edukacji dzisiaj i zobacz zemną, ja ci służę za przewodniczkę, co najciekawszego jest w teatrze – kulisy!

Hetman potakiwał głową, Dobek więc rad nierad wstał i dał się Babecie uprowadzić za scenę. W istocie na tej miniaturowej scenie, choć jej machinerja nawet była małym arcydziełem, nie było tak dalece nic do widzenia; Babetta tylko ciągnęła go, aby co prędzej potwierdzić swego domysłu uzyskać.

Zaledwie weszli za kulisy, gdy się zwróciła ku zaczerwienionemu i pomieszanemu towarzyszowi swojemu.

– Przyznaj mi się, zawołała, jesteś kobietą! Mnie oko nie myli, jam tego pewna! Mów.

– A gdyby tak było w istocie? odezwała się Laura po cichu, godziź się to, żeby kobieta zdradziła kobietę? Sam ten strój i położenie moje dowodzi, że jestem nieszczęśliwą – czyż może być, abyś się znęcać i prześladować mnie chciała?

– Ja! ja! załamując ręce i boleśnie się uśmiechając przerwała Francuzka, jakże możecie pomyśleć nawet coś podobnego? Nie przez ciekawość pewnie chcę wiedzieć tajemnicę waszą, lecz żeby wam dopomóc do osłonięcia się lepszego... bo czuję, że odkryta zostaniesz... zdradzając się co chwila!... Jesteś młodziuchną! ręczę, że jakaś nieszczęśliwa miłość gra w tem swą rolę... więc chcę ci być sprzymierzeńcem, pomocą...

Laura podała jej rękę.

– Czy mnie kto odgadł więcej? zapytała niespokojnie...

– Nikt! nikt! bądź dobrej myśli, rzekła Babetta, a teraz, aby nie obudzać podejrzeń, umizgniej się trochę do mnie i chodź patrzeć za kulisy... Reszta potem....

Po kilku tych słowach weszli do przybytku sztuki najtajniejszego, gdzie się rodzą rumieńce, tworzą młodości, malują zmarszczki... nalepiają łysiny, gdzie matrony zmieniają się w dziewice, a dzieciaki na starców.

Babetta bardzo zręcznie kokietując niby gościa, zaczęła mu pokazywać i tłumaczyć wszystko, teorię kulis... grzmotów, błyskawic, ciemności i światła... Inne artystki oblegały ciekawie Dobka...

– Wiesz pan co! zawołała p. St. -Georges: waćpan na jakim jezuickim teatrze, przebrawszy się trochę, łatwo byś jeszcze mógł grać rolę świątobliwej dziewicy.

– Jam mu już mówiła to samo! śmiejąc się dorzuciła Babetta, ale zdaje mi się, że już wąsiki puszczają...

Ponieważ ostatni akt miał się wkrótce rozpocząć, Dobek chciał między widzów powrócić. Babetta pod pozorem pokazania mu drogi przeprowadziła go nieco dalej i szepnęła na ucho:

– Powiedz Georges'owi, że cię głowa boli, gdy cię odprowadzi do mieszkania... Ja tam do ciebie przyjdę... przesunę się tak, że mnie nikt nie zobaczy.

Laura ścisnęła ją za rękę, rozstały się – z bijącym sercem i zawstydzona, nie wiedząc czy postąpiła źle czy dobrze i jakie to mieć może następstwa, wróciła do swego krzesła.

Tu na nią czekał niecierpliwy Georges, który zaczynał swą bardzo czułą przyjaźnią trochę ją zastraszać, ale jakże go chłodno odtrącić było można? Nadbiegła Ninon, spełniając co wczora przyrzekła i najzabawniej swą brzydką twarzyczką usiłując zachwycić pięknego kawalera.

– Ty będziesz musiał z biedy się we mnie zakochać, rzekł djabełek, bo nie znajdziesz sobie pary. Mama jest trochę stara i... o niej nie ma mowy; w Babecie kocha się Pobożanin, to całemu dworowi wiadomo; Eliza ma trzech adoratorów, to aż nadto dla niej jednej; pani Cipriani oprócz męża, ma Sigisbea także... pani Berger Niemka, więc cóż ci po niej?.. a zatem dla ciebie pozostałam tylko ja jedna... musisz więc kochać się we mnie... choć może jestem trochę brzydka... ale zobaczysz – ja wyładnieję!

Plotła tak i trochę Dobka rozśmieszyła... Hetman ciągle jakby umyślnie rozprawał o rolach przebranych, teatr się nareszcie skończył – podano wieczerzę... Babetta tak się zręcznie wykręcała, że usiadła naprzeciw Dobka i mrugała nań czarnymi oczyma.

Pobożanin był zły.

– Patrzcież no! zawołał do Borawskiego, który siedział przy nim, ta Francuzica... już ją skorciał młokos! co z oczyma wyrabia! A! ja jej tego nie daruję!

Hetman i tego dnia był w bardzo dobrym humorze, a jak wczoraj popisował się zwycięzko z muzyką i fletem, dziś czarował wymową i dowcipem... Szczególniej sztuka dramatyczna, teatr... Molière, Corneille, Racine dostarczali mu przedmiotu obfitego... Kilka razy zagadnął Dobka o to, a ten przyznał mu się, że Moliera, Corneilla, Racina nie czytał nawet i pod tym względem był w grubej niewiadomości..

– A! mój Boże, przerwał gospodarz, niechże wam Georges da klucz od biblioteki... mam najcenniejsze dzieła wszystkie, cały kurs sobie tu możecie stworzyć z nich!! Oprócz tego bez książek obejść się nie możecie...

Dobek się skłonił zarumieniony... Dotąd czytał niewiele i tylko poważne księgi; jakiś nowy świat otwierał się przed nim. Na wzmiankę o bibliotece serce mu uderzyło – do Biblii starej, którą rozłożoną na księdze Hioba w Borowcach porzucił...

Mimowolnie przypomniawszy ten cichy, spokojny kątek, na dziadowskich grobach ogródek zielony, ławy lasów ciemnych, szeroką rzekę... ciszę, życie owo tak proste, a tak pełne – żał się jej zrobiło przeszłości... Tu wpadła w wir, zamęt, wśród zupełnie innych ludzi, pojęć, zabaw... gdzie wszystko ją jeszcze przerażało. Trwoga ogarniała chwilami taka, że radaby była napowrót gdzieś uciec do leśniczkiej chaty na puszczy... to znowu niezmierna ciekawość wszystkiego tego co dla drugich istniało, a czego ona nie znała.

W tych myślach przesiedziała wczoraj, jako tako odpowiadając na rzucane pytania, Georgesowi zwierzyła się z bólem głowy... wymknęła się z nim, i dawszy mu odprowadzić do mieszkania, zamknęła się w niem, oczekując Babetty.

Miała czas się namyślić dotąd, gdyż ta nie rychło przyjść mogła... Dopiero około północy postyszała szelest przy drzwiach, i Francuzka oglądając się bacznie wślizgnęła się do jej mieszkania.

– Odgadłam cię, rzekła, lecz niech cię to nie trwoży: jestem aktorką i najmniejszy ruch fałszywy mnie uderza, inni tego dostrzedz nie mogą... Nie życzę ci jednak siedzieć tu długo, zbyt wiele oczu cię ściga, sam hetman jest daleko *plus fin* niż się zdaje. Nie dziwiłabym się, gdyby cię odgadnął... Lecz powiedz mi cóż mogło zmusić twojego wieku, wychowania i stanu kobietę do rzucenia się na tak niebezpieczną drogę?... co myślisz na przyszłość?

– Słuchaj mnie, pani moja, rzekła Laura powolnie, ufam ci, że mnie nie zdradzisz... Byłam u ojca jedynaczką, byłam ukochanem dziecięcym, miałam całe serce jego... Ojca mego uwiodła kobieta zła, chciwa na jego majątność. Wdarła się nam do domu, wnosząc niepokój, intrygi... namiętność... została moją macochą... chciała mnie upokorzyć i zgnieść; wołałam wszystko nad to... wyrwałam się jak szalona... sama nie wiem gdzie leczę i co zrobię.

Babetta patrzyła na nią z uwagą... a jako Francuzka i artystka nie mogła tego pojąć, ażeby miłość nie wchodziła w historię pięknej heroiny.

– Kochałaś? chciano cię wydać za innego? nieprawdaż? dodała z uśmiechem.

Laura zarumieniła się.

– Nie, rzekła, o żadnej miłości i wydawaniu za mąż mowy nie było, chociaż w przyszłości czekało mnie pewnie nienawistne jakieś małżeństwo, a ja, ja za mąż iść, nie mogę...

– Dla czego? zapytała ciekawie Babetta.

– Bo, bo, spuściwszy oczy dodała Laura, bom sobie dała słowo, że... będę wierną temu, którego wybrało serce.

– A! a! więc jest już serca wybrany! śmiejąc się rzekła Babetta – a widzisz...

– Tak... a ten wybrany jest moim krewnym, i teraz pewnie już zonatym. Nie mogę być jego, nie będę niczyją.

Zerwała się z krzesła Francuzka i poczęła ją ścisnąć.

– O złota ty moja młodości! zawołała ze łzami w oczach, a! a! powtórz, niech ja raz jeszcze posłyszę te słowa z taką siłą i prawdą wyrzeczone... które my codzień profanujemy na teatrze! Jakże to słodko usłyszeć je, niby echo młodości, tych chwil czystych a drogich, w których też same wyrazy naszemu sercu się śniły... Dziecię, dziecię moje, na cóżbym ja cię rozczarowywać miała? na co ci mówić, że cię pochwyci w swe szpony szatan życia... pokusa szczęścia i że złamiesz twe przysięgi i że po złamanych płakać będziesz... jak my wszyscy płaczemy?

Laura stała zarumieniona i trwożna.

Babetta chodziła po pokoju.

– A! niebacznie, rzekła, rzuciłaś się tak na to morze, dziecię moje... Któż wie czy nie znośniejszą była macocha nad tę wolność bez miary... w pośród fal, które cię na jakieś skały i pustkowie wyrzucić mogą.

– Przestraszasz mnie, pani moja... rzekła Laura.

– Bo się z duszy lituje nad tobą; przypominasz mi mnie samą, mówiła Babetta... mnie wyrrywającą się z domu w świat ze złotem rojeniami, a kończącą... na takim nędznym wygnaniu...

– Jest jednak wielka między nami różnica, odezwała się Laura, ja nie marzę, nie spodziewam się nic prócz cierpienia...

– Ale cóż myślisz? jak i gdzie się obrócisz? pytała Francuzka... Tu, jeśli chcesz pozostać, dobrze ci będzie, lecz nie jesteś bezpieczną... przyjaźń tego zepsutego, młodego trzpiota Georges'a, który domyśliwszy się twej tajemnicy, może chcieć z niej korzystać, postawi cię w położeniu przykrem. Dwór to, jak go widzisz, na pozór niby się raikiem ziemskim wydaje, ale pod wieńcami z kwiatów pełzają węże, i kryją się gady, i krwawią blizny. Hetman jest dobry i słodki, dopóki nie znienawidzi i nie zapragnie zemsty; naówczas z hypokryzją niepoścignioną, uśmiechając się mści najokrutniej. Ten dwór, co go otacza tak zgodny i przyjazny, to gladjatorowie, z których każdy radby drugiego obalić i zamordować. Ale to wszystko odbywa się z taką dystynkcją, tak przybrane i w dobrym tonie, te trucizny podają się w takich nektarach i ambrozji, iż trzeba zboleć, aby w nie uwierzyć. Tu wyroki śmierci układają się w madrygałach, a sztylety robią z cukierków...

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.